

Piotr Zaremba: Dwie wielkie aktorki – czego trzeba więcej? „Kobiety bez znaczenia” w Dramatycznym

To jest teatr, w którym, jak postulował kiedyś Erwin Axer, reżyser odczytuje rozumnie myśl autora. Co nie oznacza, że jest niewolnikiem tekstu, że nie dodaje niczego od siebie. Ale to jest też teatr, w którym między aktorami i publicznością wytwarza się trudna do opisania więź – pisze dla Teologii Politycznej Piotr Zaremba. Przeczytaj kolejny felieton w serii „Teatr według Zaremby”.

Poszedłem na to w ponad dwa lata po premierze – i nie będę ukrywał: na konkretne aktorki. Do salki imienia Haliny Mikołajskiej, gdzie warszawski Teatr Dramatyczny gra „Kobiety bez znaczenia” Alana Bennetta, wchodzi się stromymi schodami, na czwarte piętro. To jakby teatralny strych. Wcześniej grano to w salce Przodownik na Mokotowie.

Sztuka o dziwadłach?

Zesłano przedstawienie na strych? Ale przecież można na to spojrzeć inaczej. Klejnoty bywają zmagazynowane nawet pod samym dachem, a jednak nie przestają być klejnotami. Takie miałem odczucie, kiedy przy pełnej, przynajmniej w większości starszej niż młodszej widowni, ten niezwykły spektakl się kończył. A zresztą dosyć już tych drwin. To

całkiem ładna sala przystosowana do pewnego typu przedstawień. I zresztą w duchu całego Teatru Dramatycznego, który lewicowe nowinki miesza z graniem „dla ludzi” – w najlepszym tego słowa znaczeniu.

*Klejnoty bywają
zmagazynowane nawet pod
samym dachem, a jednak nie
przestają być klejnotami*

To akurat nie jest
przedstawienie
najłatwiejsze,
monodramy nigdy
nie są łatwe, tyle że
ono daje przewagę
słowu, myśli,

refleksji nad scenicznym ruchem i zgiełkiem. Alan Bennett, dziś 84-letni brytyjski pisarz, zresztą zwolennik Labour Party, czynnie agitujący na jej rzecz, napisał dla telewizji BBC pod koniec lat 80. zeszłego stulecia cykl monodramów (a może nawet monologów), pod wspólnym tytułem „Talking Heads” – Gadające Głowy. Pomimo przywołanych przeze mnie politycznych afiliacji w tekstach tych nie było publicystyki, choć został pokazany trochę mimochodem, obraz brytyjskiego społeczeństwa. Styl w jakim Anglicy opowiadają o innych Anglikach jest do rozpoznania na pierwszy rzut oka, lub może raczej ucha.

Z tych tekstów Grzegorz Chrapkiewicz, parę lat temu reżyser nie docenionej „Kotki na blaszanym dachu” w Narodowym, wybrał dwa. Powiązał je wspólną klamrą i wystawił pod tytułem jednego z nich. Dwie kobiety trochę opowiadają o sobie, a trochę odgrywają przed nami swój los.

Są prawdziwymi angielskimi dziwadłami: i drobna urzędniczka korporacji grana przez Halinę Łabonarską, i skrzywiona amatorka donosów sąsiedzkich, którą na warsztat bierze Małgorzata Niemirska. Rzeczywiście pełno w Anglii oryginałów? A może mamy do czynienia za specyficznym sposobem opowiadania o ludziach? Pewnie jedno zachodzi na drugie. Ale to jest coś dużo więcej niż rodzajowa opowiadka, fotka zrobiona z ukrycia dziwnym postaciom.

Na początku, kiedy pierwsza z bohaterek grana przez Łabonarską staczała się w otchłań choroby, miałem nawet wątpliwości, czy to nie kolejna przypadkowa, dość drastyczna obserwacja (nie lubię opowieści szpitalnych) pod tytułem: „jak ciężkie jest życie”. Szybko pojąłem, że to coś większego. Coś, co kryje się w samym tytule. Kruchość pierwszej kobiety i „niezniszczalność” drugiej są dwiema stronami tego samego medalu. Stronami pytania o sens ludzkiej egzystencji. Pytania mocno dołującego, przyznaję. Tu nie czeka nas łatwe oczyszczenie.

Ale warto temu stawić czoła w imię poczucia więzi z każdym człowiekiem. Choć do dziś trochę się po tym skromnym przedstawieniu nie umiem otrząsnąć.

Kruchość pierwszej i „niezniszczalność” drugiej są dwiema stronami tego samego medalu

**Charyzmatyczne,
piękne**

Jest tu dużo z
Chrapkiewicza,
reżysera zwykle

pomagającego umiejętnie zaistnieć tekstowi. Pomagającego oszczędnym, ale jednak istniejącym przy tak ascetycznej opowieści ruchem scenicznym. Dobranie odpowiedniego scenografa – tu sens ma i konstrukcja z oknem, wykorzystywana do różnych celów, i możliwość zniknięcia bohaterki za przesłoną, i animacje na ekranie, i wstrząsające pojedyncze rekwizyty typu walizki czy łóżka. Brawo scenografia Jana Kozikowskiego! To samo da się powiedzieć o żywiłowej, prawie groteskowej muzyce Piotra Łabonarskiego. I o bardzo sugestywnej, mającej swój oddzielny sens klamrze łączącej obie historie i oba występy. Na chwilę obie aktorki są na scenie razem.

Ale tak naprawdę spektakl budują one. To są role realistyczne, miejscami ze względu na temat wręcz naturalistyczne, z pewną nutką ekshibicjonizmu, a równocześnie nie całkiem takie. Owszem widzimy w pewnym momencie łzy i nawet ślinę Haliny Łabonarskiej, ale równocześnie konwencja tekstu wymaga pewnego dystansu, stylizacji, scenicznego skrótu. I kiedy oglądamy takie kreacje, dyskusja czego powinno być w grze aktorskiej więcej: wczuwania się i przeżywania, czy może stania obok postaci, traci sens. Można zaryzykować twierdzenie, że te dwie wybitne AKTORKI równolatki (rocznik 1947), z biografiami będącymi kawałkiem historii polskiego teatru i filmu, potrafią wszystko, czego oczekiwano od ich zawodu w ostatnich dziesięcioleciach. To naprawdę niezwykła lekcja.

W ostateczności patrząc na takie przedstawienia, szczególnie intensywnie myślę o tajemnicy. Bo poza wszystkimi technikami i koncepcjami aktorstwa, często zresztą trudnymi do opowiedzenia słowami, klucz do tego zawodu tkwi jeszcze w czymś innym: w charyzmie. Ona jest nieopisywalna, niewymierna. I całkiem

*To są role realistyczne,
miejscami ze względu na
temat wręcz naturalistyczne, z
pewną nutką ekshibicjonizmu,
a równocześnie nie całkiem
takie*

paradoksalna: jak to
jest być
charyzmatycznym,
przykuwać uwagę,
grając, i to z
powodzeniem,
postaci będące
kompletnym tejsze
charyzmy
zaprzeczeniem? A

jednak....

Niedawno oglądałem w tym samym Dramatycznym „Pociągi pod specjalnym nadzorem” według Hrabala. Uważam, że to kawałek solidnej scenicznej roboty, chociaż z nierównymi rolami. Uwagę wszystkich na premierze przykuwała właśnie Małgorzata Niemirska, niewielką na poły groteskową rolę żony zawiadowcy stacji. Taki jest porządek rzeczy, po prostu.

Tu, w monodramie charyzma musi być z definicji. Bo postawcie na scenie kogoś, kto jest jej pozbawiony i każcie mu samotnie wypowiadać tekst Bennetta. Przedstawienie się nie uda. Po prostu.

Mamy też wiele tajemnic pobocznych. Naturalne warunki trochę określają emploi aktora, aktorki, ale można te bariery połamać – wielcy to potrafią. Z pewnością utwierdzają pozycję na scenie, ale czy do końca. Halina Łabonarska ma wspaniały, melodyjny głos, nie do podrobienia. Głos Niemirskiej jest niby mniej charakterystyczny. Ale, mój Boże, co ona z nim potrafi uczynić!

Od obu pań bił jakiś blask. Halina Łabonarska powiedziała mi kiedyś, że wkłada w swoje role życiowe doświadczenie nabyte z latami. Chętnie wierzę, ale nie da się tego komisyjnie zbadać, kiedy jest jeszcze coś takiego jak intuicja. Wiem za to co innego. Sygnalizuję kolejną sprzeczność. Panie pokonywały w „Kobietach bez znaczenia” wszelkie możliwe ograniczenia, ale przede wszystkim były PIĘKNE. Jak można być na scenie pięknym grając, i to skutecznie, postaci małe, połamane, właściwie brzydkie? No właśnie jak? Może ktoś rozwikła tajemnicę?

*Panie pokonywały w
„Kobietach bez znaczenia”
wszelkie możliwe
ograniczenia, ale przede
wszystkim były PIĘKNE*

To jest teatr, w którym, jak postulował kiedyś Erwin Axer, reżyser odczytuje rozumnie myśl autora. Co nie oznacza, że jest niewolnikiem tekstu,

że nie dodaje niczego od siebie. Ale to jest też teatr, w którym między aktorami i publicznością wytwarza się trudna do opisania więź. Więż zbudowana wokół miłości do człowieka, takiej ewangelicznej, nawet jeśli konkluzje sztuki dalekie są od wszelkiej, także chrześcijańskiej ortodoksji. To za tę więź byłem wdzięczny. I jestem nadal, bo jak powiadam, wciąż myślę o tym przedstawieniu.

Warto wdrapać się na ten teatralny strych, za cenę zadyszki. Naprawdę można tam sięgnąć po precjoza rzadkiej urody.